



grażyna plebanek
pudełko
ze szpilkami



SERIA Z MIOTŁA



Grażyna Plebanek

(ur. 1967) – ukończyła polonistykę na Uniwersytecie Warszawskim, pracowała jako dziennikarka dla Agencji Reutera i „Gazety Wyborczej”. Mieszka w Brukseli. Autorka powieści *Pudełko ze szpilkami*, wydanej po raz pierwszy w roku 2002 (nagroda w konkursie wydawnictwa Zysk i S-ka „Dziennik polskiej Bridget Jones”), i bestsellerowych *Dziewczyn z Portofino* (W.A.B. 2005). Jej nowa książka, *Przystupa*, ukaże się w Wydawnictwie W.A.B. w roku 2007.



SERIA Z MIOTŁĄ



Christine Angot
Kazirodztwo

Halina Pawłowska
*Zdesperowane kobiety
postępują desperacko*

Grażyna Plebanek
Dziewczyny z Portofino

Ena Lucía Portela
Sto butelek na ścianie

Sonia Raduńska
Białe zeszyty

grazyna plebanek
pudełko
ze szpilkami

I

Nie wiem, od której godziny mocz staje się ranny. Zastanawiałam się nad tym do 6.54, w końcu wstałam, rozpakowałam test ciążowy, przeczytałam instrukcję obsługi i oparłam się o zimny brzeg umywalki. O 7.00 opuściłam spodnie od piżamy i przycupnęłam nad sedesem.

Do obchodów pierwszego maja szykowałam się bardzo uroczyście. Na zaścielonym żółtą kapą pojedynczym łóżku położyłam kartonowe pudełko z nowymi szpilkami, trójkącik czarnych stringów z różą wielkości pinezki na przodzie i stanik z identycznym kwiatkiem uplasowanym pomiędzy miseczkami rozmiaru 70A – najmniejszego z możliwych.

Pierwszy maja – dzień moich dwudziestych dziewiętych urodzin – zamierzałam spędzić w domu – na dwudziestojednometrowej przestrzeni z ciemną kuchnią graniczącą cudem z toaletą.

Mieszkanie spełniało wiele funkcji. Funkcję sypialni, czytelnicy, jadalni, garderoby i miejsca, w którym można było odpocząć od myśli. Wszystkie

funkcje koncentrowały się na łóżku zaścielonym żółtą kapą.

Pozostałe czynności, takie jak gotowanie, zmywanie czy oglądanie telewizji, nie wchodziły w rachubę na tym metrażu, dlatego zrezygnowałam z nich bez żalu. Jeśli chodzi o kochanie się, to przez dłuższy czas obywałam się i bez tego, w końcu jednak zwyciężył zdrowy rozsądek i przeznaczyłam na to futrzany dywanik zakrywający fragment podłogi, na którym nie stało łóżko.

Pierwszego maja 1999 roku siedziałam na brzegu kozetki i przyglądałam się krytycznie futrzakowi. Musiał być w moim wieku, a może trochę młodszy, miał urwaną jedną łapę i obszarpany fragment ucha. Lubiłam go.

Terkot dzwonka zastał mnie przed lustrem. Z ulgą oderwałam wzrok od bioder wciśniętych w bezlitosne majtki i wtykając nogę w nową szpilkę, ruszyłam w stronę drzwi.

Ryza papieru, którą wręczył mi gość, zaskoczyła mnie bardziej, niż jego zdziwił widok mojego ciała sauté. Mimo to wzięłam pakunek w ręce, a on poklepał mnie po pośladkach i mruknął:

– Takie dupsko to rozumiem!

Nie związałam się z nim dla przyjemności. Kiedy po raz pierwszy kochaliśmy się koło łóżka, myślałam, że gdyby futrzak żył, cieszyłby się, że coś się na nim wreszcie dzieje. Sama przez kilka trudnych miesięcy pocieszałam się myślą, że w końcu się przecież dopasujemy. Tak się jednak nie stało.

Aktualny kochanek miał pozwolić mi zapomnieć o poprzednim związku – z dziennikarzem,

który wyglądał jak starszy brat Gorana Bregovicia. Pomógł mi osiągnąć dojrzałość dziennikarską i być może intelektualną. Prawdopodobnie sądził, że jakąś jeszcze, bo pewnego dnia zadał mi pytanie, na które podobno czeka każda dziewczyna:

– Czy nie chciałabyś wyjść już za męża?

– Za męża?

– Większość moich żon oświadczała mi się, gdy osiągały trzydziestkę. To niełatwy wiek dla kobiet, chcą wyjść za męża i mieć dzieci. Dlatego zeniłem się z nimi i robiłem im dzieci... A potem one odchodziły, zabierając dzieci ze sobą – wyjaśnił, wypychając w spodnie koszulę i lekki nadmiar brzucha.

– Co się stało z ostatnią?

– Męczy mnie o dziecko. Daję jej dwa, trzy lata, zanim zdecyduje się mnie porzucić. Wtedy ty masz szansę.

– Mam dopiero dwadzieścia dziewięć lat, jestem za młoda na małżeństwo.

– Hm, w każdym razie pamiętaj o tym, jakby cię przypiliło – dokończył na wdechu, zaciskając pasek.

Nie zamierzałam skorzystać z oferty. Nie dlatego, że za dwa lata dziennikarzowi przysługiwałaby opieka geriatryczna, ale dlatego, że był jednym z tych kochanków, o których myślałam fragmentarycznie. Że gdyby wykroić z niego przyzwoitą część (cechę, zwyczaj, fragment wyglądu) i zestawić z inną korzystną częścią, należąca do kogoś innego, to wyszedłby ideał.

Prawdziwego ideału dotąd nie spotkałam.

Gość, który wręczył mi ryzę papieru, mieszkał w moim bloku i był drukarzem. Być może gdyby

zestawić jego urok psa bernardyna z dekadenccko-zmurszałym wyglądem mojego byłego... Nie, ten nie był ideałem tym bardziej.

Kiedy drukarz zaczął mówić o ciąży, stałam właśnie na futrzaku, kłując go nowymi, niewygodnymi szpilkami. Zrozumiałam, że jeżeli ktoś urodzi dziecko pierwszego stycznia 2000 roku, to dostanie dużo pieniędzy i choćby z tego powodu warto byłoby zająć w ciążę. Nie podzielałam opinii, ale ciekawa byłam, do czego gość zmierza.

– No i dlatego stara zaszła – wyjaśnił mój kochanek, mając na myśli swoją żonę.

– A z kim stara, ee... zaszła? – zapytałam, a drukarz rozpromienił się jeszcze bardziej i ubrudzonym palcem wskazał samego siebie.

Pożegnałam go z ulgą.

– No tak, dobrze, że go wreszcie pogoniłaś – powiedziała Kasia, wyciągając z piekarnika rumianą szarlotkę. Na pewno gratulowała sobie w duchu, że zrobiła całą blachę. Zapowiadałam co prawda, że pierwszego maja, w swoje urodziny, pójdę wreszcie pierwszy raz na pochód, ale Kasia mi nie uwierzyła. Miała przeczucie, że będziemy obchodzić wspólnie urodziny, jeśli nie pierwszego maja, to najpóźniej dzień po, jak teraz.

Intuicja mojej siostry jak zwykle opierała się na czymś konkretnym – w tym wypadku na świadomości, że chodzeniem na pochody w czasach socjalizmu nie splamił się dotychczas nikt w naszej rodzinie, a uporczywa nieobecność ojca na tychże, a przede wszystkim to, że jego sztuki najpilniej czytane były

w urzędzie cenzury, zakończyło się zesłaniem nas do małego miasta, o czym nie pozwałała nam zapomnieć babcia, „mieszkanca stolicy od pokoleń”, jak sama o sobie mówiła.

Kasia podała mi na talerzyku kawałek gorącego ciasta, oparła łokcie o stół i wpatrzyła się we mnie.

Nasza fizyczna bliźniaczość była raczej umowna. To, co we mnie zostało cienkie i słabo wykształcone, w Kasi zmieniło się w bujność i nadmierną obfitość. I na odwrót. Ten stan rzeczy nieustannie nas drażnił.

– Jedz – rzuciła Kasia niechętnie, sięgając po smakowitą przypieczkę.

– Przecież się odchudzasz – burknęłam.

– No tak, ale nie w ten sposób...

Zanim Kasia w nasze urodziny zaczęła bombardować mnie anonsami o swoich kolejnych ciążach i porodach, przez blisko dwadzieścia lat dzieliłyśmy „pokój dziewczynek”. Symetrycznie ustawione tapczany symbolizowały dwa różne światy, nawet zasłonki w oknie składały się z dwóch części – różowa z falbankami po stronie Kasi i biało-przyszarzała z żeglarskiego płótna po mojej. Nad łóżkiem Kasi, przypięty do maty, wisiał blond dupek wycięty z „Bravo”, nad moim – Matt Dillon, zbuntowany brunet z cudownie grubymi brwiami. Na półce pod oknem stał wspólny magnetofon marki Grundig, o który kłóciłyśmy się bez przerwy, na parapecie kasety z przegranymi płytami: Jean Michel Jarre’a i Queen (po mojej stronie), Bee Gees (po stronie Kasi). Na straży zbiorów tkwiły zdjęcia uradowanych braci Gibb oraz Jarre’a (kolejnego, po Dillonie, bruneta) i Freddie-

go Mercury'ego, bruneta nr 3 z gołą klatą, niebudzącego żadnych erotycznych skojarzeń.

Zdjęcia z „Brava” pochodzące od leniwej córki dyrektora zakładów przetwórstwa mięsnego zdobyłyśmy każda na własną rękę; Dillona dostałam za napisanie za nią rozprawki (nie rozumiała słowa „rozprawka”), Kasia blond mydłka w nagrodę za zaplecenie jej warkocza francuskiego.

Na jedynej pustej ścianie zawisł plakat z filmu *Kosmos 1999*. Kasia modliła się do komandora w spodniach dzwonach, a ja do jego flegmatycznej partnerki, której głowa obracała się tylko o dziewięćdziesiąt stopni. Gdy chciała objąć wzrokiem dalszy fragment horyzontu, musiała zwrócić się w tę stronę całym ciałem. Było coś dystyngowanego w tym ułomnym ruchu głowy i za to uwielbiałam kosmiczną blondynę. Przez jakiś czas łudziłam się nawet, że w 1999 roku będę wyglądała jak ona, ale w porę zorientowałam się, że wówczas będę miała aż dwadzieścia dziewięć lat, a tyle blondynka na pewno nie miała. Tyle mogła mieć co najwyżej babcia, która zawsze była stara.

Babcia sprowadziła się do nas, kiedy zdecydowałam się zostać po studiach w Warszawie. Oddała mi swoją kawalerkę i zamieszkała w „pokoju dziewczynek”. Żeby nie czuła się tam obco, mama zakryła ścianę cepeliowską makatką, zwłaszcza że plakat Limahla (idol mojej pozbawionej gustu siostry), który zastąpił wyblakły fotos z serialu *Kosmos 1999*, nie dał się odskrobać od tynku, a zamalowany białą farbą wciąż straszyl konturem.

O kolejne w rodzinie dziewczynki postarała się Kasia. Kiedy zdałam na studia, urodziła bliźniaczki,

a trzech kolejnych chłopców wydała na świat w odstępie dwóch i trzech lat. Nie przestawało mnie to zaskakiwać – byłam pewna, że to mnie kosmiczny rok 1999 zastanie w rozkwicie kobiecości, z gromadą dzieci i wiernym mężem u boku. Tymczasem to Kasia wyszła za mąż za kolegę z podstawówki i uszczęśliwiła go potomstwem.

Właśnie miałam zapytać Kasię, jak wyobrażała sobie ten rok, kiedy do kuchni wpadła młodsza generacja dziewczynek.

– Mama, mama! Wideo nie działa! Zrób coś!
– wykrzyczały na jednym oddechu.

– Jak to nie działa?

– Kasety nie można włożyć – poinformował nas mały chłopczyk, który wyrósł obok dziewczynek.

– Bo trzeba wyjąć poprzednią – wyduła usta Kasia, sięgając po następny kawałek szarlotki.

– Niestety, tam coś jest – zawyrokował chłopczyk i ponuro wymaszerował z kuchni w asyście dziewczynek, niczym chór grecki powtarzających „Nie działa, nie działa, zrób coś”. Na wołanie Kasi „Gdzie jest wasz ojciec?” nie zareagował – odpowiedź była oczywista.

Mąż Kasi siedział w ubikacji. Przeczekiwał tam wszystkie moje wizyty, podobnie zachowywał się, gdy Kasię odwiedzała mama, babcia czy jakakolwiek koleżanka. Kiedyś podejrzewałam go o złośliwe blokowanie oczka, ale Kasia wyjaśniła, że łazienka to jedyny azyl w domu tętniącym dziecięcymi wrzaskami.

– Jak tylko przychodzą, on zaraz chowa się w sraczu – machnęła lekceważąco ręką. – Już taki jest.

Kiedy dzieci wyszły z kuchni, Kasia wzruszyła ramionami gestem niewytępionym przez babcię, po czym wycelowała we mnie podbródek:

– Zobacz, co tam się dzieje, a ja zrobię herbatę.

Pomaszerowałam posłusznie do pokoju w towarzystwie zawodzących dziewczynek i chłopca, do których dołączyło kolebiące się na boki niemowlę. Gestem wprawnego ginekologa włożyłam rękę do przegródki na kasetę i wyszarpnęłam ją po setnych sekundy – w środku było coś miękkiego, zimnego, obciągniętego sflaczałą skórą...

– Aaaaa! – krzyknęłam, a niemowlę złapało się za łysą głowę i z chrzęstem pampersa padło na siedzenie.

– Aaaaa! – wrzasnęły dziewczynki, a chłopczyk obwieścił zrezygnowanym tonem:

– Mama, znowu parówka w wideo!

W pracy od czasu pójścia Magdy na urlop macierzyński było tyle roboty, że nie wiedziałam, w co ręce włożyć. Dla uspokojenia zaczęłam od prywatnych zaległości, licząc na to, że konus pożera w swojej kanciapie poranną kanapkę i nie przyłapie mnie na nieprofesjonalnym zachowaniu. Do „Yahoo Messengera” wstukałam adres Aleksandry.

„Byłam u Magdy” – zaczęłam.

„Kiedy wraca do pracy?” – odpisała natychmiast Aleksandra.

„Najwcześniej za dziewięć miesięcy. Prosiła, żeby nikomu o tym nie mówić...”

„Pewnie, pewnie. Co jeszcze mówiła?”

„Niewiele. Firmę ma chyba w dupie. Jak tylko zaczęłam o pracy, wepchnęła się z historią porodu,

nieprzespanych nocy i nawału pokarmu, a jak dzieciak skrzeknął, wyjęła pierś z bieliźnianej konstrukcji, wtknęła mu ją w dziób i olała mnie na amen”.

„Jak wygląda?” – zapytała Aleksandra.

„Wory pod oczami, brzuch jak przed porodem, legginsy, koszula męża i włosy zebrane w tłąstą kitkę. Nie wiem, co jej się porobiło. Przecież to była laska!”

„Była... Moim zdaniem masz dziewięć miesięcy na wygryzienie jej ze stołka, bo jak po roku wróci do pracy, będzie się nadawała wyłącznie do czyszczenia toalet. Po pierwszym porodzie siedziałam w domu sześć tygodni, po drugim cztery, a i tak narobiłam sobie furę zaległości w firmie. Nie warto tak odpadać, bo potem nie ma do czego wracać.

PS Mam nadzieję, że widzisz swoją zawodową szansę?! PS 2 Jak z niej nie skorzystasz, to młodsze szcurki ześlą cię do Polski B, na rodzinne zadupie. I zostaniesz Kasią!”

Nie mogłam zostać Kasią, Aleksandra dobrze wiedziała, gdzie dziobnąć, żeby zabolalo. Przez kilka lat dzieliłyśmy pokój w akademiku. Studiowała jednocześnie prawo i marketing; ze swoją pogodną aktywnością i przerażliwym zorganizowaniem upchnęła mnie na liście zajęć gdzieś między wykładami, basenem, siłownią, weekendowymi wypadami i wieczornymi imprezami. Potrzebowałam towarzystwa, a ona wskoczyła w moje życie jak brakująca część układanki. Załatwiła mi nawet posadę sekretarki w banku, w którym sama pracowała od początku studiów. Dzięki temu mogłam przenieść się do kawalerki babci – stać mnie było na czynsz.

Zanim udało mi się skończyć polonistykę, Aleksandra wyszła za mąż za jednego z dyrektorów banku, urodziła pierwsze dziecko i zrobiła dyplom z prawa. Rok później urodziła drugie dziecko, zrobiła dyplom z marketingu, cały czas nie przestając pracować. Kiedy została zastępcą dyrektora marketingu, zrezygnowałam z sekretarkowania i poszłam na staż do gazety codziennej. Dostałam o połowę mniej pieniędzy, ale dziennikarstwo polubiłam.

– Co to znaczy „polubiłam”? – wściekła się Aleksandra, gdy jej o tym powiedziałam. – Polubić można wszystko, ale wyżyć na poziomie nie da się ze wszystkiego!

Rzeczywiście, zamiast powiększać stan posiadania, z braku miejsca redukowałam w kawalerce kolejne funkcje. Z gazety odeszłam jednak dopiero po rozstaniu z klonem Bregovicia. Aleksandra załatwiła mi dobrze płatną pracę w firmie public relations, w której zaczęłam wszystko od początku. Jej determinacja, by pchnąć moją karierę do przodu, była tak wielka, że gdyby była mężczyzną, podejrzewałabym ją o zapłodnienie Magdy w celu ustąpienia mi pola w firmie. W każdym razie nie chciałam zawieść pokładanego we mnie zaufania.

– No dobrze, ale czy ciebie ta praca interesuje?
– Karolina wycelowała we mnie widelec znad talerza z sałatką. Siedziała po turecku na futrzaku, tuż obok niej stał kufel piwa.

– Ale co znaczy, czy ją „interesuje”? – nadeła się Aleksandra, rozpinając marynarkę. Pod spodem miała błyszczący pas z cekinów.

– Skąd to masz? – zapytałam, nie mogąc ode-
rwać oczu od tęczyowych błysków.

Pas przypomniał mi gorset krakowianki, który
mama kupiła nam na bal do przedszkola. Strój musiał
kosztować pół pensji, dlatego podzieliłyśmy się nim
z Kasią sprawiedliwie – przez pierwszą część balu ja
byłam krakowianką, a ona biedronką, przez drugą
na odwrót. Niestety, krepinowe skrzydła biedronki
dostałam tak upaprane kisiem, że nie chciało mi się
nawet ich wkładać. Krążąc smętnie w rajstopkach
i golfiku wokół wystrojonej Kasi, pocieszałam się my-
ślą, że to jednak ja zrobiłam entré.

– To? – Aleksandra wskazała na pas. – Przy-
wiozłam z Mediolanu.

– Byłaś w Mediolanie? – zainteresowała się
Monika. – Nic nie mówiłaś!

– A o czym tu mówić? – wzruszyła ramionami
Aleksandra. – Mediolan jak Mediolan, obleciałam skle-
py z ciuchami, zjadłam służbowy lunch, rozdałam
parę wizytówek i przyleciałam dziś rano. A pas mi się
spodobał, bo ma taką małą kieszonkę, w sam raz na
wizytówki. O, tu...

– Specjalny pas na wizytówki z napisem
„dyrektor” – mruknęła Karolina.

– Może chcesz go pożyczyć do sesji mody?
– zmrużyła oczy Aleksandra, ale Karolina zamachała
tylko rękoma, wskazując na usta zapchane sałatką.

Karolinę znałam najdłużej. W przedszkolu były-
śmy nierozłączne od etapu krasnali do starszaków.
Kiedy przenieśliśmy się całą rodziną do mniejszego
miasta, rodzice wysyłali nas razem na kolonie, po któ-
rych pisywałyśmy do siebie ilustrowane listy. Potem

spotkałyśmy się znów na studiach – Karolina zgłębiała historię sztuki na wyraźne życzenie ojca, autora wielu podręczników z tej dziedziny (sama marzyła o rzeźbie, ale ojciec gardził praktyką). Po tym wydziale znalazła pracę stylistki w magazynie dla nastolatek, a ostatnio pracowała też przy sesjach mody dla pism kobiecych.

– Więc pytam – powtórzyła uparcie Karolina – czy ciebie to, co robisz, interesuje?

– Och, Karolina, mówisz jak dziecko... – wtrąciła się znów Aleksandra.

Siedziała z podkulonymi nogami na łóżku, z dala od futrzaka, który obsiadłyśmy z Karoliną i Moniką. Najszczęśliwsza byłaby pewnie w knajpie, ale Karolina nie chciała, byśmy spotykały się w miejscach publicznych, wiedząc z doświadczenia, że wszechobecni znajomi Aleksandry przerwą każdą rozmowę, byle tylko zaliczyć powitanie, pełne cmokanych w powietrze całusów.

Monika też nalegała na domowe spotkania, bo miejsc publicznych nie znosiła. Najlepiej czuła się w swoim mieszkaniu, na powierzchni porównywalnej z moją, dzielonej z mężem i dzieckiem, i chętnie nie wytykałaby stamtąd nosa. Organizowanie spotkań u niej nie wchodziło na razie w rachubę („Alusia jest zbyt mała, żeby nocować u babci, a Paweł za duży”, tłumaczyła córkę i męża), więc dawała się zapraszać do którejś z nas.

– Czy mnie to interesuje... – powtórzyłam bezmyślnie pytanie. Nie zastanawiałam się nad tym. Wszyscy robili kariery. Skoro miałam takie możliwości, to... Nie chciało mi się teraz nad tym zastanawiać.